

Jeszcze ostrzejsza i bardziej nieprzewidywalna
niż w pierwszym DOCHODZENIU – Sarah Lund powraca!

DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

NA MOTYWACH ORYGINALNEGO SCENARIUSZA
SØRENA SVEISTRUPA
- NAJLEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ
OSTATNIICH LAT - SERIAŁU

2

THE KILLING



_ WOJSKO DUŃSKIE

Jens Peter Raben – były sierżant

Louise Raben – żona Rabena, pielęgniarka wojskowa

pułkownik Torsten Jarnvig – ojciec Louise Raben

major Christian Søgaaard

Allan Myg Poulsen – były towarzysz broni Rabena

Lisbeth Thomsen – była towarzyszka broni Rabena

David Grüner – były towarzysz broni Rabena

generał Jan Arild – asystent szefa sztabu, kwatera główna

Gunnar Torpe, „Kapelan” – pastor, były kapelan wojskowy

Torben Skåning – były kapitan

Frederik Holst – lekarz wojskowy

Peter Lænkholm – były porucznik

_ INNI

Anne Dragsholm – prawniczka, aktywistka

Stig Dragsholm – mąż Anne Dragsholm

Abdel Hussein Kodmani – aktywista islamski

Connie Vemmer – dziennikarka, była rzecznik prasowa Ministerstwa
Obrony Narodowej

CZWARTEK_
3 LISTOPADA_
23.42_

Trzydzieści dziewięć schodów prowadziło z ruchliwej drogi Tuborgvej do Mindelunden, z jej cichymi grobami i niezmiennie gorzkimi wspomnieniami. Lennart Brix, szef Wydziału Zabójstw kopenhaskiej policji, czuł się, jakby przez większość życia pokonywał tę drogę.

Pod łukiem wejściowym, chroniącym przed marznącym deszczem, mimowolnie wspomniął tamtą pierwszą wizytę sprzed niemal pięćdziesięciu lat. Pięcioletni chłopiec ściskający rękę ojca nawet sobie nie wyobrażał, co zaraz zobaczy.

Śmierć była dziecku równie daleka, jak koszmar senny albo bajka. Ale tu, w tym odludnym parku w Østerbro, uwięzionym pomiędzy ruchem ulicznym a linią kolejową, leżała przyczajona niczym zgłodniałe widmo, kryjąc się w cieniach za nagrobkami i posągami, szepcząc nazwiska wycięte w zimnych kamiennych tabliczkach wmurowanych w ścianę.

Brix, wysoki i poważny mężczyzna, daleki od snucia fantazji i uleganiu iluzji, wytarł twarz rękawem płaszcza. Za nim odprawiano znajomy rytuał Wydziału Zabójstw. Funkcjonariusze w czarnych mundurach stąpali ciężkimi krokami po betonowych ścieżkach, niosąc lampy i pozostały sprzęt niczym ekipa techniczna przygotowująca przedstawienie. Trzaski krótkofalówek niosły

się w powietrzu. Mężczyźni zadawali przewidywalne pytania, na które on z krótkim machnięciem ręki udzielał przewidywalnych odpowiedzi.

Mindelunden.

Natrętnie wspomnienie, dręczący strach, który od tego czasu nigdy go nie opuścił.

– Sze e?

Madsen. Dobry gliniarz. Niezbyt bystry, ale młody i pełen zapału.

– Gdzie ona jest? – spytał Brix.

– W najgorszym miejscu. Chce pan...?

Brix ruszył w górę, dotarł do schodów, wyszedł na wietrzną ciemną noc. Długa linia płyt pamiątkowych po jego lewej stronie zdawała się ciągnąć w nieskończoność, jedno nazwisko po drugim, sto pięćdziesiąt jeden, garstka partyzantów zamordowanych w czasie pięcioletniej okupacji nazistowskiej. Było ich o wiele więcej, jak powiedział jego ojciec w tamten słoneczny dzień, 5 maja, pół wieku temu, gdy w każdym domu i mieszkaniu zapalano w oknie świeczkę dla upamiętnienia tych, którzy zginęli.

Przed oczyma Brixa znowu stanął tamten zimny, spokojny poranek. Z czapką w rękę mały Lennart szedł do posągu kobiety trzymającej martwego syna, chociaż widział niewiele oprócz grobów na przodzie, rząd za rzędem ciągnących się równych kamiennych mogił, każda z pamiątkowym wazonem, wszystkie pięknie utrzymane. I tak będzie zawsze, zapowiadał jego ojciec.

Tamtego dnia dziecko, którym był wówczas Lennart Brix, odbyło pierwsze spotkanie z mrocznym potworem zwanym śmiertelnością i zrozumiało, że jego szara, wieczna obecność nigdy go już nie opuści. Śmierć ciągle tu była – w niewidzących kamiennych oczach kobiety tulącej utraconego syna. W nazwiskach wyciętych w marmurowych płytach. Czaiła się jak dzikie zwierzę, kuląc się w cieniach lasu za uporządkowanymi, równymi grobami, czekając na sposobność, by uciec w miasto.

– Sze e?

Madsen się niecierpliwił. Miał prawo. Lennart Brix wiedział, gdzie jest najgorsze miejsce, i po tych wszystkich latach w Wydziale Zabójstw i tak nie chciał go zobaczyć.

– Mamy męża. Wóz patrolowy zatrzymał go w samochodzie na moście do Malmö. Jest cały zakrwawiony. Bełkocze jak szaleniec.

Naziści zajęli Mindelunden wraz z sąsiednimi koszarami Rvvangen w 1943 roku, gdy zacieśnili kontrolę nad Kopenhagą. W budynkach wojskowych po drugiej stronie linii kolejowej ustanowili centrum dowodzenia. Tu, na płaskim terenie wykorzystywanym do parad i ćwiczeń wojskowych, prowadzili schwytanych partyzantów na strzelnicę i tam ich mordowali.

Madsen potupywał na bruku i chuchał na ręce.

– To pewnie oznacza, że połowę roboty mamy za sobą.

Brix tylko na niego spojrzął.

– Mąż – powtórzył młody funkcjonariusz, wyraźnie zniecierpliwiony. – Jest cały we krwi.

Dwa lata temu, kiedy na poły nieświadomie zbliżali się do rozvodu, Brix oprowadził po Mindelunden swoją żonę. Tym samym podjął daremny wysiłek, by zainteresować ją swoim miastem rodzinnym i powstrzymać przed ostatecznym wyjazdem. Pochodziła z Londynu, nigdy do końca nie pojęła więc kontekstu tego miejsca. Żeby to zrozumieć, trzeba być Duńczykiem, obowiązkowo przeprowadzonym tu w dzieciństwie przez rodzica poważnie traktującego wydarzenia z przeszłości.

Anglicy znali oblicze wojny, ale z natury okupacji naiwnie nie zdawali sobie sprawy, co było niebezpieczne. Dla nich, a także dla Amerykanów, konikty zbrojne rozgrywały się w innych miejscach, wybuchały jak dalekie ognie, następnie je tłumiono i pod postacią popiołów i prochów zostawały na obcej ziemi. Dla Duńczyków okupacja była czymś innym, a Brix nie umiał tej inności wyjaśnić. Walczyli najlepiej, jak umieli, kiedy Niemcy wkroczyli do Jutlandii w 1940 roku. Potem na jakiś czas spokojnie się poddali w zamian za namiastkę normalności, pozornej niepodległości w rozdartej wojną Europie, okrutnej scenerii, gdzie władza naziistów wydawała się przesądzona.

Zanim zaczęli znikać Żydzi, a śmiałe grupy partyzantów niepokoić sumienia, zmieniło się nastawienie ludności. Niektórzy walczyli, płacąc najwyższą cenę, torturowani w celach Politigården – kwatery głównej policji, gdzie Brix teraz pracował – potem prze-

wożeni do Mindelunden, przywiązywani do słupów na tle trawia-
stego szańca, gdzie nigdy nie miały stanąć żywe cele.

Ciągle słyszał, jak ojciec opisuje scenę z maja 1945 roku, kie-
dy nadeszło wyzwolenie. W tych ostatnich miesiącach Niemcom
śpieszno było wymordować jak najwięcej więźniów. Skatowane,
gnijące ciała leżały półzagrzebane na nagich polach, porzucone
w pośpiechu.

Nie umarli lekką śmiercią, a i doświadczenie okupacji nie
chciało odejść w niepamięć. Pozostał gniew, żal i skrywane po-
czucie wstydu. Jako dziecko drżące przed tymi trzema słupa-
mi, zachowanymi w charakterze pomników przed trawiastą
ścianą strzelnicy, Lennart Brix zastanawiał się, czy on miałby
tyle odwagi. Czy może odwróciłby się plecami i żył jak gdyby
nigdy nic?

To pytanie na pewno zadawali sobie wszyscy, którzy nadeszli
później. Rzadko jednak na głos.

Szczekanie psa wyrwało Brixa z zamyślenia. Zerknął na tech-
ników w białych kombinezonach i czepkach, którzy maszerowali
z ponurymi twarzami między rzędami grobów w stronę miejsca,
gdzie zbierała się reszta zespołu.

Pomyślał, że może tamta chwila przed pięćdziesięciu laty na-
maściła go na detektywa. Kogoś, kto szukał przyczyn tam, gdzie
z pozoru nie istniały.

– Sze e?

Twarz Madsena jaśniała chorobliwym zapałem, którego oczeki-
wał od swoich ludzi. Musieli czuć głód, potrzebę pościgu. De-
tektywi byli myśliwymi, wszyscy. Niektórzy lepszymi od innych,
choć najlepsza policjantka, z jaką kiedykolwiek się zetknął, te-
raz marnowała życie i swoje zdolności w mundurze pogranicznika
w zapadłej dziurze na Zelandii.

Brix nie odpowiedział. Ruszył przed siebie, wiedząc, że musi
stawić temu czoło.

Płaski prostokąt trawy, zdeptany i ubłocony przez policyjne
buty, z trzech stron otoczony był ścianami.

Rektory świeciły tak mocno, że można było odnieść wra-
żenie, że to księżyc w pełni jaśnieje nad ich głowami. Poza ich

zasięgiem światła grupy funkcjonariuszy cierpliwie przeszukiwały teren, wysoko unosząc latarki.

Przed nimi stały trzy sękaty słupy – repliki oryginałów, które obecnie znajdowały się w niewielkim muzeum Ruchu Oporu w mieście, Frihedsmuseet. Kobiętę przywiązano do środkowego, z rękoma na plecach, ciężką liną przepasując jej pierś. Blond włosy przesiąkły deszczem i krwią. Z głową zwieszoną, podbródkiem na piersi, wyglądała, jakby przycupnęła niezgrabnie na kolanach.

Ziejąca rana na jej szyi jak chory drugi uśmiech. Miała na sobie niebieski szlafrok pocięty miejscami aż do pasa, a tam, gdzie trało oszalałe ostrze, wycierało poranione ciało. Jej twarz była posiniaczona i brudna. Krew z nosa zaschła wokół ust niczym makijaż tragicznego kłowna.

– Kilkanaście ran na szyi i klatce piersiowej – referował Madsen. – Nie zabito jej tutaj. Zadzwoił do nas mąż i powiedział, że wszedł do domu i stwierdził, że wszędzie jest pełno krwi. I ani śladu żony. Potem odjechał samochodem.

Przysunął się, by popatrzeć z bliska.

– A więc tak wyglądają zbrodnie namiętności.

Pies wpadł w szal.

– Czy ktoś może uciszyć to zwierzę? – spytał Brix.

– Sze e?

– Zabierzcie męża na przesłuchanie. Zobaczmy, co ma do powiedzenia.

Madsen zaszurał nogami.

– Chyba nie jest pan przekonany.

– Ona jest prawniczką. On też. Zgadza się?

– Tak.

Brix wpatrywał się w poszarpane, pogruchotane ciało pod słupem.

– Tutaj? – Pokręcił głową. – Akurat tutaj? To nie ma sensu.

– W ogóle zabijanie ludzi nie ma sensu, prawda?

Właśnie że ma, pomyślał Brix. Czasami. Na tym właśnie polegała robota detektywa. By wśród kości i krwi dojrzeć logikę.

Myśl o utraconej funkcjonariuszce Sarah Lund nie dawała mu spokoju. Że tak trwoni swój czas w Gedser. Zastanawiał się, co

ona by wywnioskowała z takiej sceny. Jakie zadałaby pytania, na co by spojrzała. Coś, z czym zetknął się przed pięćdziesięciu laty, również jemu dało ten straszliwy dar. Dało. Trochę. Ale nie miał takiego talentu jak Lund. On umiał mówić do zmarłych, wyobrażał sobie ich odpowiedzi.

Ona...

Wysoki, poważny szef Wydziału Zabójstw kopenhaskiej policji bardzo chciał opuścić to miejsce. Tutaj nie mógł jasno myśleć, rozum go zawodził.

Nigdy nie pojmie, jakim cudem Lund słyszy, co mówią zmarli.

– Co mam zrobić? – spytał znowu Madsen.

– Już powiedziałem. Przywieź go na komendę.

Ruszył w drogę powrotną wąską, błotnistą ścieżką, przez pole nagrobków, mijając nazwiska na murze, posąg matki tulącej zamordowanego syna, tablicę pamiątkową z patriotycznymi wersestami kłopotliwego pastora Kaia Munka, dawno temu zamordowanego przez gestapo pewnej ciemnej styczniowej nocy w pobliżu Silkeborg w Jutlandii.

Zszedł betonowymi schodami, ostrożnie, tak jak kiedyś jako pięcioletek opuszczający to miejsce z zawrotami głowy i mdłościami, gdy uświadomił sobie, że świat nie jest bezpiecznym i szczęśliwym królestwem, choć tak dotąd sądził, i że pewnego dnia i jego tak jak wszystkich czeka mrok.

U stóp schodów Lennart Brix spojrzał w prawo, potem w lewo, upewniając się, że nikt go nie widzi. Zszedł na pobocze ruchliwej drogi i zrobił to, co kilkadziesiąt lat temu: zwymiotował w brudne krzaki, zarzucone śmieciami, butelkami i niedopałkami.

Potem siadł milczący i żałosny w nieoznakowanym radiowozie, pod obracającym się niebieskim światłem, słuchając syren i rozmów w policyjnym radiu, żałując, że nie ma w sobie tyle wiary, by modlić się, żeby Madsen miał rację. Że to tylko zaskakująco gwałtowna zbrodnia rodzinna, która zostanie szybko i jednoznacznie rozwiązana.

Zbrodnia namiętności. Nic więcej.

PONIEDZIAŁEK_
14 LISTOPADA_
7.45_

Gedser leżało nad ciemnymi wodami Bałtyku. Maleńkie miasteczko liczyło sobie ośmiuset mieszkańców, z czego większość utrzymywała się z promu, przez cały dzień kursującego do Rosstocku i z powrotem. W czasach, gdy Niemcy były podzielone na Wschodnie i Zachodnie, przemysł ograniczał się zasadniczo do uchodźców politycznych zza żelaznej kurtyny. W XXI wieku przemysłnicy okazali się bardziej przedsiębiorczy. Narkotyki, twarde i miękkie, przemysł ludzi z Bliskiego Wschodu i odleglejszych regionów. Natura kontrabandy się zmieniła, a władze mogły tylko mieć nadzieję, że nieco powstrzymają ten zalew.

Sarah Lund, w swoim granatowym mundurze pogramicznika, z długimi ciemnymi włosami związanymi pod regulaminową czapką, nie straciła ani krztyny ze swojej ogromnej wyobraźni i dociekliwości. Po katastrofalnym zakończeniu sprawy Birk Larsen i postrzeleniu jej partnera Jana Meyera została wyrzucona z kopenhaskiej policji. Zaproponowano jej tę skromną, kiepsko płatną posadę na prowincji, gdzie nie znała nikogo ani nikt jej nie znał.

Przyjęła ją skwapliwie, rozgościła się w maleńkim drewnianym domku, w którym przez dwa lata nie zdążyła rozłożyć swoich rzeczy, oprócz kilku praktycznych ubrań i paru zdjęć syna Marka, czternastolatka mieszkającego obecnie z ojcem pod Kopenhagą.

Jej życie trwało w stanie zawieszenia, utknęło w martwym, głuchym punkcie, choć częściowo było już wolne od dręczącego poczucia winy, które nie dawało jej spokoju w stolicy.

To przez nią sprawa Birk Larsen zakończyła się tak paskudnie. To ją należało winić, że Meyer, aktywny, szczęśliwy człowiek, bezgranicznie kochający swoją rodzinę, resztę życia spędzi na wózku.

Pracowała więc w Gedser i patrzyła, jak ciężarówki toczą się jedna za drugą z wielkich statków w porcie, a potem przyglądała się twarzom kierowców, gdy zabierali swoje pojazdy na nabrzeże, i szybko nabrała biegłości w wyławianiu tych o nerwowym spojrzeniu.

W poprzednim roku nikt nie złapał tylu nielegalnych imigrantów, co ona. Co prawda na nikim nie robiło to wrażenia. Jakie to miało znaczenie? Wyzwaniem dla uchodźców było pokonanie wąskiej cieśniny pomiędzy Rostockiem a Gedser. Kiedy już ktoś sobie z tym poradził, trał na duńską ziemię, skąd deportowano niewielu imigrantów, czy to legalnych, czy nie.

Wykonywała zatem swoją pracę jak najlepiej. A pomiędzy nadejściem a wypłynięciem promu czytała i pisała dziwny list do Kopenhagi.

Przed tygodniem samotnie obchodziła czterdzieste urodziny. Trzy puszki piwa i list do Vibeke, matki, opowiadający o kcyjnym przyjęciu z kcyjnymi nowymi przyjaciółmi. I kupiła sobie kieszonkowe radio.

Teraz, o ósmej, gdy siedziała sama w niewielkiej budce pograniczników, deszcz lał z ponurego nieba, a ona słuchała w słuchawkach porannych wiadomości.

„Przyszłość rządowego pakietu antyterrorystycznego stoi pod znakiem zapytania...” – oznajmił spiker.

Uważne oczy Lund podążyły za odpływającym promem, który manewrował przy wyjściu z portu i ociężale kierował się na otwarte morze.

„...ponieważ minister sprawiedliwości Frode Monberg trał do szpitala z atakiem serca. Nie mamy aktualnych informacji na temat stanu jego zdrowia. Parlament miał dzisiaj omawiać nową ustawę antyterrorystyczną. Premier Gert Grue Eriksen twierdzi, że

nieobecność Monberga nie zaszkodzi negocjacjom z partnerami koalicyjnymi rządzącej Partii Centrum...”.

– Politycy – mruknęła Lund, wspominając wydarzenia sprzed dwóch lat. – Nannie Birk Larsen nie okazali żadnych względów. Dbali tylko o siebie.

Przesadnie uprzejmy głos premiera wypełnił jej uszy. Grue Eriksen od tak dawna funkcjonował na szczytach duńskiej polityki, że na sam dźwięk głosu zobaczyła jego wizerunek: srebrzyste włosy, promienna, miła twarz. Człowiek godzien zaufania. Chłuba narodu.

„Pakiet antyterrorystyczny jest w obecnej sytuacji niezbędny – powiedział Grue Eriksen wyważonym, pewnym głosem. – Prowadzimy wojnę z okrutnym wrogiem, który jest tak tchórzliwy, że musi się trzymać w ukryciu. Walka z terroryzmem musi trwać, tutaj i w Afganistanie”.

Nielegalni imigranci złapani przez Lund nie wyglądali na terrorystów. Zwykli, smutni, biedni obcokrajowcy, którzy łyknęli kłamstwo, że Zachód jest miłą i szczerą ziemią, która ich powita z otwartymi ramionami.

Kolejny serwis informacyjny.

„Podejrzany o dokonanie morderstwa w Parku Pamięci nadal przebywa w areszcie. Szef Wydziału Zabójstw Lennart Brix przez dziesięć dni, które upłynęły od zbrodni, ujawnił niewiele informacji. Źródła zbliżone do Politigården sugerują, że aresztowana osoba, podobno mąż o ary, wkrótce zostanie zwolniona, o ile policja nie dokona jakiegoś przełomowego odkrycia...”.

Jednym szybkim ruchem wyjęła słuchawki z uszu. W kolejce do następnego promu stanęła ciężarówka. To dlatego. Tylko dlatego nie chciała dłużej tego słuchać.

Nieważne, że jej dyżur właśnie się kończył, a w stronę budki nadchodził zmiennik.

Kopenhaga to już przeszłość. I praca w policji również. Nie cieszy się z tego. Ale też nie czuje rozczarowania. Tak po prostu jest.

Wysła więc na spotkanie zmiennikowi, porozmawiała o grach i raportach. O tym, co mogą dla nich oznaczać nowe ustawy antyterrorystyczne. Pewnie więcej roboty papierkowej i tyle.

Ruszyła do biura, by zakończyć dziesięciogodzinną zmianę, zastanawiając się, czy zdoła się wyspać, kiedy wreszcie wróci do swojego domku na skraju tego ponurego miasteczka.

Przy drzwiach zobaczyła czarnego forda. Plakietka parkingowa na przedniej szybie wyglądała znajomo: Politigården. Przy samochodzie stał mężczyzna w jej wieku. Wyższy od Jana Meyera, bardziej umięśniony. Ale w takich samych ciuchach: czarna skórzana kurtka i dżinsy. Ta sama zniszczona, blada twarz, krótko ostrzyżone włosy i kilkuniedniowy zarost.

Jan Meyer miał wylupiające oczy i wielkie uszy. Ten mężczyzna nie. Był przystojny, ale jakby nie zdawał sobie z tego sprawy. Uważny za tą zawodową, zdystansowaną maską, do której noszenia zmuszała go praca.

Glina do szpiku kości, pomyślała Lund. Równie dobrze mógłby nosić odznakę na piersi.

– Cześć – powiedział żywym, niemal dziecięcym głosem, podążając za nią do biura.

Lund wyłączyła swoje walkie-talkie, wsadziła je do szuady. Wzięła kubek z kawą.

On stał w drzwiach.

– Sarah Lund?

Kawa jak zwykle wydawała się zbyt mocna.

– Ulrik Strange. Dzwoniłem do ciebie mnóstwo razy. Zostawiałem wiadomości. Pewnie ich nie odebrałaś.

Zdjęła czapkę, uwolniła długie ciemne włosy. On nie odrywał od niej wzroku. Lund zastanawiała się, czy jest podziwiana. W Gedser to się nieczęsto zdarzało.

– W termosie jest kawa, jeśli masz tyle odwagi – powiedziała i wypełniła nocny raport: dwie linijki, nic do zgłoszenia.

– Jestem podkomisarzem policji...

Szczegóły, pomyślała Lund. Zawsze się liczyły.

– Podkomisarzem policji kryminalnej, chciałeś powiedzieć?

Zaśmiał się. I wyglądał przy tym życzliwie.

– Nie. W ciągu dwóch lat sporo się zmieniło. Wprowadzono mnóstwo reform. Już nie można palić w budynku. Mamy nowe

stopnie. Wyrzucili słowo „kryminalnej”. Pewnie było uważane za trochę...

Podrapał się po krótkich włosach.

– Osądzające.

Wzniósł kubek z kawą, jakby wygłaszał toast. Lund sprawdziła wpis w dzienniku i zamknęła go.

– Chcielibyśmy omówić z tobą pewną sprawę.

Wyszła do szatni. Strange podążył za nią.

– Dziesięć dni temu zamordowano kobietę. W bardzo dziwnych okolicznościach.

Lund wzięła swoją cywilną kurtkę, granatowy sweter i dzinsy.

– Zaczekam, aż się przebierzesz.

– Mów dalej. – Przecisnęła się za szafki i ściągnęła zimny, wilgotny mundur.

– Pewnie o tym czytałaś. Mindelunden. Kobieta zamordowana w Parku Pamięci. Chcielibyśmy, żebyś przejrzała akta sprawy, bo może coś nam umknęło.

– My? – spytała Lund zza szafek.

– Brix o to prosił. Potrzebne nam świeże spojrzenie. Uważa, że ty możesz je nam zapewnić.

Lund siadła na krześle i wciągnęła długie skórzane buty.

– Mogę tu zostać do południa – zaproponował Strange. – Zreferować ci sprawę, jeśli chcesz.

– Pracuję w straży granicznej. Nie zajmuję się morderstwami.

– Jesteśmy prawie pewni, że mamy sprawcę. Mąż o ary siedzi w areszcie. Możemy go trzymać najwyżej do jutra, a potem musimy mu postawić zarzuty. Zapłacimy ci za przepracowany nad sprawą czas. Twój tutejsi przełożeni się zgadzają.

Wstała, nie patrząc na niego.

– Powiedz mu, że nie jestem zainteresowana.

Stał w drzwiach, nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego?

Lund wpatrywała się w jego klatkę piersiową, dopóki się nie ruszył, po czym minęła go i chwyciła kurtkę.

– Brix uprzedził mnie, że odmówisz. Mówił, że powinienem podkreślić, jakie to ważne. I że potrzebujemy twojej pomocy.

– Cóż... – Lund odwróciła się, by spojrzeć na niego. – Już to zrobisz, prawda?

Strange ścisnął kubek, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Zanim wyjdiesz, sprawdź, czy zamknęłaś dobrze drzwi – dodała i ruszyła w stronę auta.

Gdy zadzwonił telefon, Thomas Buch siedział sam w swoim biurze poselskim w Folketinget, siedzibie parlamentu, i odbijał od ściany gumową piłeczkę. Robił tak od dzieciństwa. Drażnił tym wszystkich. Siebie też.

Niektórzy uważali Bucha za intruza, kogoś, kto dostał się do duńskiego parlamentu dzięki wybitnemu człowiekowi, którego śmierć była prawdziwą stratą dla narodu. Buch miał trzydzieści osiem lat, był jednym z dyrektorów w przedsiębiorstwie rolnym w swojej rodzinnej Jutlandii. W pracy odnosił sukcesy, prowadził rękę, którą jego rodzina tworzyła przez długie lata, aż w końcu rozrosła się tak, że zatrudniała ponad czterysta osób.

Potem nadeszła druga wojna w Iraku. Jeppe, starszy brat Thomasa – ten bardziej bystry, szczupły, przystojny, elokwentny, gwiazda mediów, która wkrótce miała wkroczyć w świat polityki – postanowił wrócić do wojska.

Jeppe rzucał długi cień. Stał się on jeszcze dłuższy, gdy Jeppego zamordowali rebelianci, którzy zaatakowali jego oddział dostarczający wsparcie medyczne szpitalowi na przedmieściach Bagdadu.

Thomas Buch w zasadzie sam nie do końca rozumiał, dlaczego zgodził się walczyć o miejsce w parlamencie, które obiecano jego bratu, tym samym zamieniając złożoność Wspólnej Polityki Rolnej na zawiloci duńskiego prawa parlamentarnego. W gruncie rzeczy nie była to wielka zmiana. Ze zdziwieniem odkrył, że może wygodnie prosperować w ławach Partii Centrum. Większość go tolerowała, niektórzy traktowali podejrzliwie, a dla wszystkich zawsze był grubym młodszym bratem Jeppego. W każdym razie on sam tak się czuł postrzegany.

Tęsknił za swoją żoną Marie, która została w domu w Jutlandii z dwójką ich dzieci, nie znosił cynicznej miejskiej atmosfery mia-

sta. Niemniej obowiązek to obowiązek, a rodzinna rma została w dobrych rękach.

Pomysł awansu w szeregi rządu nawet nie powstał mu w głowie. Otyły, z łagodną twarzą morsa i wątlą rudą brodą, nigdy nie był ulubieńcem mediów. W głębi serca miał nadzieję, że kiedy obecna kadencja dobiegnie końca, cichcem powróci do spokojnych pól ojczystych stron i znowu stanie się anonimowy. Tymczasem zaś poradzi sobie z każdą legislacją, która się nadarzy, potrzebami wyborców, codziennymi obowiązkami parlamentarnymi.

I uderzeniem gumowej piłeczki o ścianę gabinetu. Zawsze próbował przewidzieć, jak zareaguje ona na niewielką zmianę kąta. Obserwowanie piłeczki pomagało mu się skupić, a telefon, który niedawno odebrał, dał mu mnóstwo do myślenia. Było to wezwanie na egzekucję albo wyniesienie na wyższe stanowisko.

Kazano mu włożyć marynarkę i krawat. Odbił więc piłeczkę po raz ostatni, ocenił bezbłędnie, którędy wróci, złapał ją i wsadził do kieszeni, po czym ściągnął bluzę i z małej szafy przy oknie wyciągnął swoje najlepsze ubranie.

Na krawacie zobaczył żółtko. Na jedynej dość czystej białej koszuli też. Zeskrobał je, ale została żółta plama. Znalazł więc w zastępstwie czarne polo i wyszedł na listopadowy chłód. Przeciął brukowany plac, który oddzielał siedzibę parlamentu od pałacu Christiansborg, wspiął się długimi czerwonymi schodami i dotarł do gabinetu Gerta Grue Eriksena, premiera Danii.

W domku zawsze panował przenikliwy ziąb, choćby nie wiadomo jak Lund podkręcała żalosne ogrzewanie. Wiedziała, że nie zaśnie. Usmażyła więc bekon, spaliła kilka tostów i sprawdziła rozkład jazdy pociągów.

Autobusem do Nykøbing Falster, potem pociągiem. Dwie i pół godziny. Kursował regularnie.

Od czasu sprawy Birk Larsen rzadko bywała w domu. To nie miasto ją odstraszało. To wspomnienia. I poczucie winy. W Gedser jej życie wypełniał szary Bałtyk, nudna, rutynowa praca w porcie, samotne godziny w pustym domku, oglądanie telewizji, błąkanie się po sieci, czytanie, spanie.

W mieście było inaczej. Przestała być panią swojego życia napędzanego przez wydarzenia z zewnątrz, poza jej kontrolą, pełne ciemnych ulic, do których przemierzania tęskniła.

Chodziło o miejsce, nie o nią.

„Ściągnęłaś Meyera do tego budynku. Wygnałaś ze swojego życia Bengta Roslinga. Przepędziłaś też Marka i jego ojca. Dokonałaś tych wszystkich fatalnych wyborów, próbując dociec, kto zabił Nannę Birk Larsen”.

Od jakiegoś czasu nie słyszała już tego głosu.

Zdjęcie Marka miała na lodówce. Nie widziała go od pięciu miesięcy. Pewnie jest teraz jeszcze wyższy.

Na urodziny kupiła mu bluzę w Netto. Tani prezent. Przy swoich mizernych zarobkach nie mogła sobie pozwolić na inny.

Powinna czasami spotkać się z matką. Z powodów, których Lund nie rozumiała, wojna pomiędzy nimi, kiedyś taka zacięta i nieustanna, wygasła, odkąd ją zwolniono z Politigården. Niewykluczone, że Vibeke znalazła w sobie cień współczucia, a może nawet żalości, którego jej córka nigdy wcześniej nie zauważyła. A może po prostu obie się starzały i brakowało im energii, by podtrzymywać wieloletnie sprzeczki, które dzieliły je, odkąd Lund sięgała pamięcią.

Zerknęła na kalendarz. Trzy dni wolne od pracy. I żadnego pomysłu na zabicie czasu.

Sięgnęła po laptopa, rzuciła okiem na wiadomości. Przeczytała to, co powiedzieli o morderstwie w Mindelunden, bo coś musieli powiedzieć. Nie było tego dużo. Lennart Brix doszedł do wprawy w knebłowaniu mediów, a w każdym razie był teraz lepszy niż dwa lata temu, gdy połowa polityków w kopenhaskim ratuszu próbowała wyjść cało ze sprawy Birk Larsen.

Brix.

Nie był złym człowiekiem. Tylko ambitnym. Nie zwolnił jej od razu. Zaproponował wyjście, dzięki któremu zostałyby w polityce, gdyby tylko zechciała schować dumę do kieszeni, powiedzieć, że kłamstwa są prawdą, ukryć rzeczy, które należało wydobyć na ostre, bezlitosne światło.

koalicyjnej. Grue Eriksen był kapitanem statku o nazwie Państwo, odpowiedzialnym za nawigację jednostką sterowaną przez wiele rąk. Niski, energiczny mężczyzna w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, o srebrnych włosach i dostojnej, przyjacielskiej twarzy. Odkąd Buch pamiętał, Eriksen znajdował się na szczytach duńskiej polityki. Od tak dawna, że człowiek z Jutlandii ciągle czuł przed nim respekt niczym dziecko przed dyrektorem.

Grue Eriksen nie lubił prowadzić czczych gadek.

Krótkie powitanie, zwyczajowe pytanie o rodzinę, uścisk ręki.

– Słyszał pan o Monbergu? – przeszedł szybko do rzeczy.

– Wiadomo coś nowego?

– Mówią, że będzie zył.

Premier gestem skierował gościa do krzesła stojącego przed jego biurkiem, po czym sam zajął wielki skórzany fotel naprzeciwko.

– Nie wraca do pracy. Nie w tej chwili. I później też nie.

– Przykro mi – powiedział Buch ze szczerym współczuciem.

Grue Eriksen westchnął.

– To zły moment. Potrzebujemy pakietu antyterrorystycznego.

A utkwiliśmy pomiędzy prawicą a lewicą. Z jednej strony tak zwani patrioci Krabbego w Partii Ludowej. Z drugiej krwawiące serce Birgitte Agger i Postępowych. Jeśli oni wszyscy nie odpuszczą, ustawa przepadnie. Monberg miał sobie z tym poradzić.

Grue Eriksen wpatrywał się wyczekująco w rozmówcę.

– A więc, Thomasie? Co zrobimy?

Buch się roześmiał.

– Schlebia mi, że pyta pan o to właśnie mnie. Ale...

Nie był tępy. Jego umysł pracował całą drogę po długich schodach do gabinetu Grue Eriksena.

– Ale dlaczego? – spytał.

– Bo kiedy wyjdzie pan z tego pokoju, uda się pan na spotkanie z królową. Musi poznać nowego ministra sprawiedliwości. – Grue Eriksen ponownie się uśmiechnął. – Znajdziemy panu koszulę i krawat. I proszę w jej obecności nie bawić się tą cholerną piłeczką. Potem znajdziemy jakiś sposób na uchwalenie naszego pakietu antyterrorystycznego. W przyszłym tygodniu głosowanie, a tu

– To wojna, Thomasie! Nie mamy czasu na tchórzostwo i skromność. Oni pana posłuchają, i to tak, jak nigdy nie słuchali Monberga. On był czeladnikiem, umiejętnym działaczem partyjnym. Nie wnosił nic więcej. Nie miał siły moralnej.

Grue Eriksen kiwnięciem głowy wskazał rozmówcę.

– Pan wnosi. Nikt lepszy nie przychodzi mi do głowy.

– Panie pre...

– Ma pan kompetencje. Nie wątpię w to. Naprawdę brakuje panu woli? Poczucia obowiązku?

Obowiązek.

Obok tego słowa trudno było przejść obojętnie.

Premier wstał i podszedł do długiego okna. Buch dołączył do niego. Patrzyli obaj na konie i dwukółkę brnącą przez błoto na placu.

– Mogłem wyznaczyć kogoś innego z naszego ugrupowania – powiedział Grue Eriksen – ale wtedy ustawa byłaby zagrożona. Myśli pan, że to leży w interesie Danii?

– Nie – odrzekł Buch. – Oczywiście, że nie. Pakiet, który mamy, jest uzasadniony i konieczny...

– Proszę więc doprowadzić go do końca. Dla mnie. Pytam pana ostatni raz: zostanie pan naszym nowym ministrem sprawiedliwości?

Buch nie odpowiedział.

– Biała koszula, klasyczny krawat – orzekł Grue Eriksen i wezwał sekretarkę. – Znajdziemy coś panu. Lepiej niech pan pośle po zapas o cjalnych strojów, panie ministrze. Koniec z koszulkami polo.

Herstedvester, placówka łącząca funkcję więzienia i szpitala psychiatrycznego, leżało dwadzieścia kilometrów na zachód od Kopenhagi. Oznaczało to długą, nudną podróż, której Louise Raben miała już trochę dość.

Znała procedurę. Torba przejeżdża przez skaner. Obszukanie. Przepustka.

Potem strażnicy wprowadzali ją do środka i dalej, do pokojów widzeń, a ona zastanawiała się, gdzie jest jej mąż i co robi.

Dwa lata osadzenia, każda prośba o zwolnienie warunkowe odrzucona. Jens Peter Raben był żołnierzem, ojcem, mężem. Czło-

wiekami, który służył państwu duńskiemu przez niemal połowę swojego trzydziestosiedmioletniego życia.

Teraz został zdegradowany do roli więźnia w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, odizolowany jako zagrażający sobie i społeczeństwu, któremu kiedyś w swoim mniemaniu służył.

Dwa lata. Nic nie zapowiadało końca udręki. Gdyby był skazany za zwykłe przestępstwo – rabunek, rozbój – już by wrócił do domu, a może do wojska – to było jej tajemne życzenie, którego nie wypowiadała w obecności ojca – szukałby pracy w cywilnym świecie. Ale stan umysłu Rabena po tym, gdy ranny wrócił z Afganistanu, nie dawał nadziei na wolność, do której mieli prawo zwyczajni przestępcy. Odkupienie było niedostępne dla tych, których uznano za niespełna władz umysłowych.

Coraz częściej przychodziła jej do głowy straszliwa myśl. A jeśli nigdy go nie wypuszczą? Jeśli jej mąż, ojciec Jonasa, zostanie w Herstedvester na zawsze?

Ich syn właśnie skończył cztery lata. Potrzebował obecności mężczyzny. Oboje potrzebowali. Ona była młoda. Brakowało jej przyjaźni męża, a także jego obecności, ciepła, bliskości. Na samą myśl, że mógłby nigdy nie wrócić, zaczynała sobie tworzyć absolutnie niedopuszczalne scenariusze.

Gdyby on nigdy nie wrócił... Ile jest warta lojalność? Wierność?

Louise Raben pochodziła z rodziny wojskowego, wychowała się w koszarach, gdy jej ojciec sięgał po kolejne stopnie. Niektóre kobiety czekały, inne korzystały z okazji, by przejąć kontrolę nad własnym życiem. Ona nie chciała dokonywać takiego wyboru.

Strażnik wprowadził ją na blok dla odwiedzających. Na zewnętrz widziała skrzydło więzienne i dalej szpital, w osobnym budynku. Wszędzie wysokie mury. Druty kolczaste. Mężczyźni z walkie-talkie i bronią. Potem wpuścili ją do prywatnego pokoju zarezerwowanego na wizyty małżeńskie. Tania tapeta, zwykły stół, pod ścianą tapczan. I mężczyzna, który coraz częściej wydawał się daleki, choćby nie wiadomo jak się starała.

– Jonas? – spytał.

Podeszła i uściskała go. Ciągle miał na sobie te same stęchłe ciuchy – czarny sweter, wytarte płócienne spodnie. Broda mu po-

siwiąca, twarz stała się szczuplejsza. Zawsze ją zdumiewało, że choć nie wydaje się muskularny, ma w sobie jakąś siłę, widoczną chociażby w szaroniebieskich oczach, które sprawiały wrażenie niestrudzonych.

Jens Peter Raben był sierżantem w batalionie jej ojca. Kimś, komu ludzie ufali i kogo czasami się bali. Była w nim zaciekłość i gniew, które chyba nigdy nie słabły, w każdym razie takie miała wrażenie.

– W przedszkolu był bal – powiedziała, kładąc dłoń na jego policzku i czując szczecinę. – Koledzy go zaczepiali...

– Jasne. Rozumiem.

– Odzywał się do ciebie Myg?

Raben pokręcił głową. Na dźwięk tego imienia jakby trochę się zmartwił. Allan Myg Poulsen należał do jego oddziału w Afganistanie. Aktywnie działał w klubie weteranów, dbając o byłych żołnierzy. Poprzedniego ranka Louise zadzwoniła do Myga z prośbą, by znalazł jakąś pracę dla jej męża.

– Myg mówi, że mógłby ci załatwić jakąś robotę. Na budowie. Stolarkę. Pomógłby nam znaleźć mieszkanie.

Wtedy się uśmiechnął.

– Może gdybyś miał zapewnioną pracę...

– Może.

Podczas każdego spotkania wydawał się jej taki spokojny. Trudno było zrozumieć, dlaczego każde jego podanie o warunek odrzucano, argumentując, że jest tak niebezpieczny, iż nie można go zwolnić.

Przyniosła ze sobą kilka rysunków Jonasa, rozłożyła je teraz na stole. Bajki i smoki. Zamki na niebie.

– Tata kupił mu miecz i tarczę. Prosił o nie.

Raben kiwnął głową, nic nie mówiąc. Tylko patrzył na nią zagubionymi oczami.

Czegokolwiek w tej chwili chciał, nie mogła mu tego dać. Wlepiła więc wzrok w mur za oknem i powiedziała:

– Niewiele się dzieje. Gdyby nie to przedszkole. Mieszkanie w koszarach... to nie jest...

Zawsze to ona musiała zapytać. Wstała i wskazała tapczan.

– Chcesz...?

– Zaczekajmy chwilę.
Ostatnio zawsze tak mówił.
Louise już nie usiadła. Postanowiła nie płakać.
– Kiedy będziesz miał informacje o warunkach?
– Niedługo. Adwokat uważa, że mam duże szanse. Dyrektorka kliniki mówi, że zrobiłem duże postępy.
Znowu wpatrzyła się w mur.
– Tym razem nie mogą odrzucić. Nie odrzucają.
Znowu zaczęło padać. Za oknem biegali inni więźniowie, w kapturach, z twarzami na mroźnym wietrze, znudzeni tak jak on. Próbowali wypełnić czymś czas.
– Nie odrzucają, Louise. Co się dzieje?
Siadła, wzięła go za rękę i starała się spojrzeć mu w oczy. Było w nich coś, do czego nigdy nie umiała dotrzeć.
– Jonas nie bardzo chce tu przychodzić.
Twarz mu pociemniała.
– Wiem, że uwielbiasz się z nim spotykać. Ma cztery lata. Byłeś za granicą, gdy się urodził. Połowę jego życia spędziłeś tutaj. On wie, że jesteś jego ojcem, ale...
Te myśli nie dawały jej spokoju, a były tak wyraźne.
– To tylko słowo. Nie uczucie. Nie ma... – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. – Nie ma go tutaj. Musisz wrócić do domu. Potrzebuje cię. Oboje cię potrzebujemy.
Nagły gniew zniknął, a jego miejsce zajęła odrobina wstydu.
– Nie zmuszaj go – powiedział.
– Nie zmuszam. – Łzy same popłynęły. Była żoną wojskowego, chociaż nigdy tego nie chciała. To było bez sensu. – Nie zmuszam, Jens! Ale on już nie jest niemowlęciem. Nie chce nawet o tobie mówić. Niektóre dzieciaki w przedszkolu mu dokuczają. Coś słyszały.
Wyraz jego twarzy – rozdarcie pomiędzy żalem a bezsilną wściekłością – sprawił, że jeszcze bardziej zachciało jej się płakać.
– Przepraszam. – Wyciągnęła rękę i na chwilę dotknęła jego szczeniastych policzków. – Coś na to zaradzę. Nie martw się.
– Razem coś zaradzimy.
Nie mogła tak po prostu patrzeć mu w oczy. Wiedział o tym, więc wzięła jej rękę i czekał, aż podniesie wzrok.